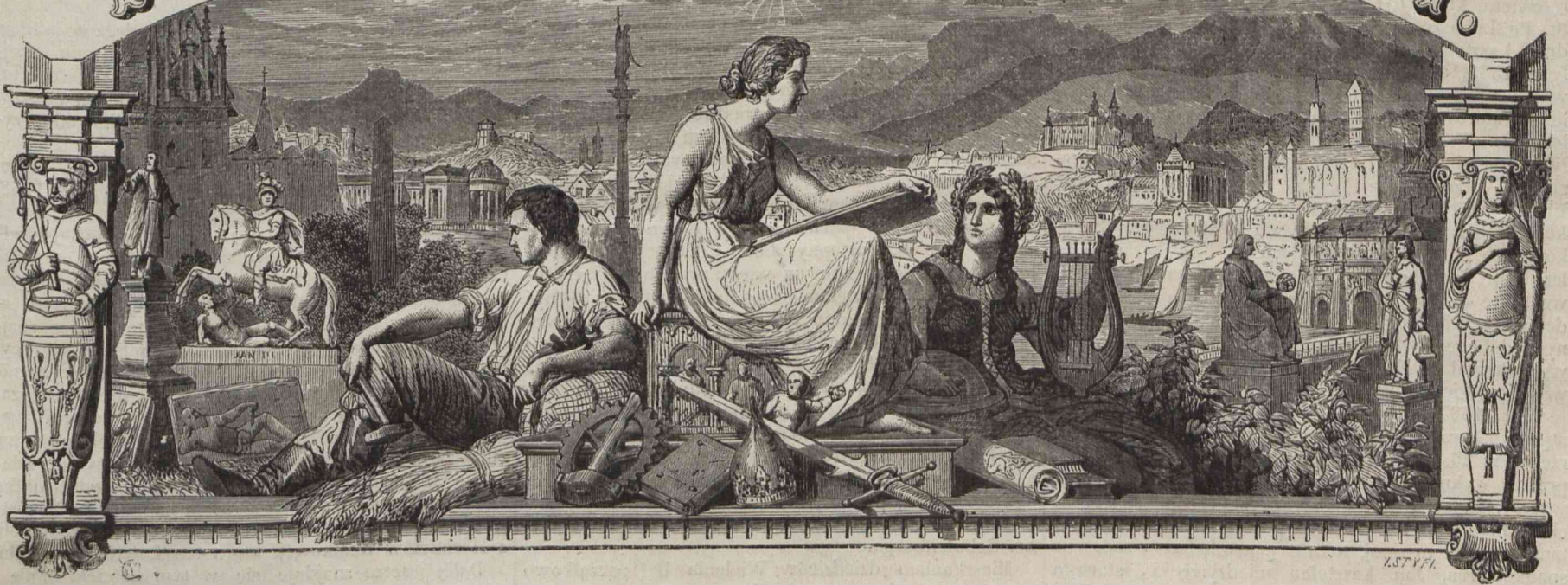


TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 175.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 31 stycznia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 tsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

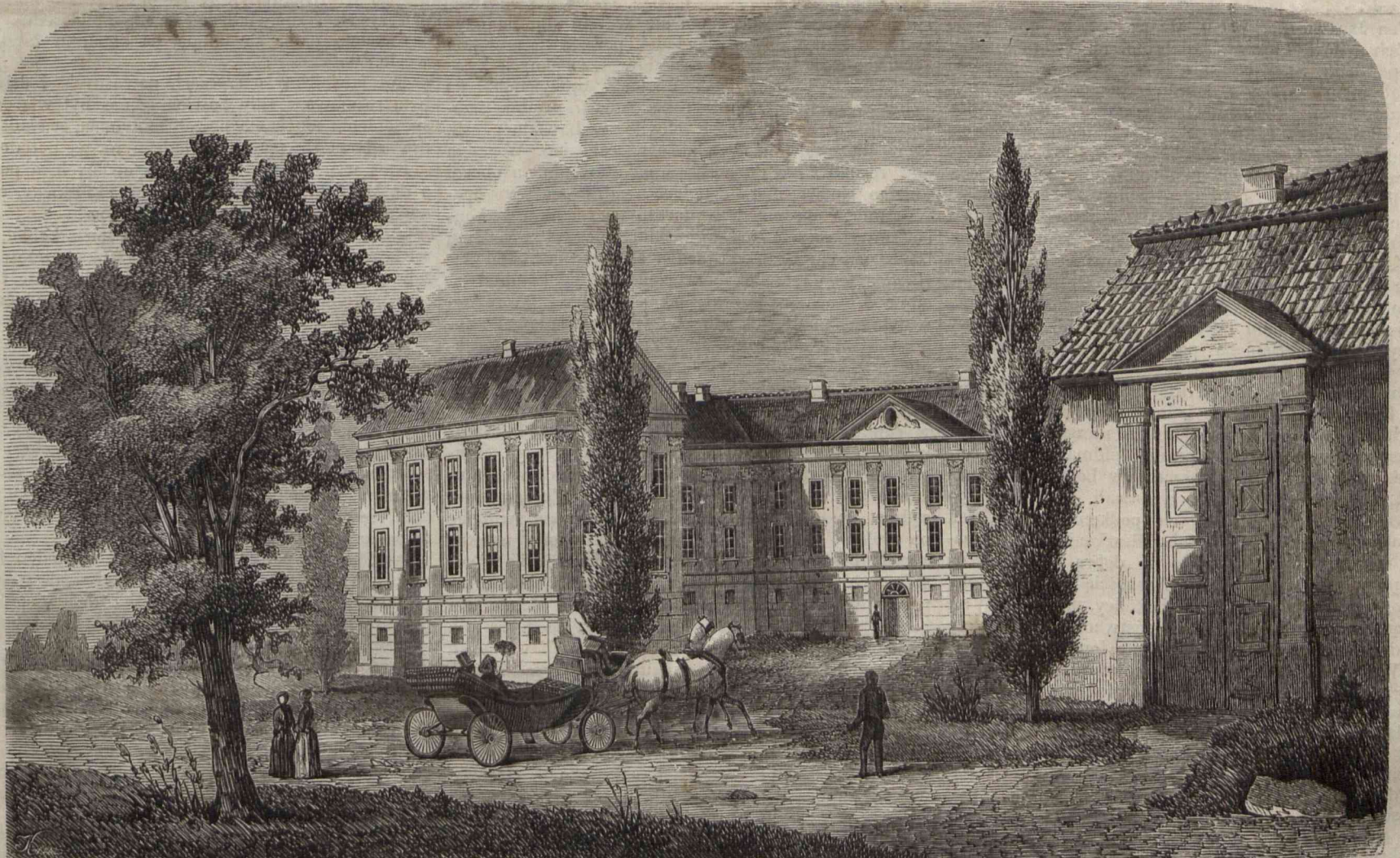
Wieleń (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, przysłowie (z drzeworytem). — Obraz na szkło przeznaczony do kościoła św. Jana w Wilnie (z drzeworytem). — Ratał Józef Czerwiakowski (dalszy ciąg). — Ratusz wileński (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

WIELEŃ.

Wieleń, (przez Niemców przewany Filehne), jest to

Wielaniem nazwano. Zamek ten w r. 1107 zdobył Bolesław Krzywousty na Pomorzanach, wraz z Czarnkowem i innymi pogranicznymi nad Notecią zamkami. Gdy Pomorzanie znów broń podnieśli, Krzywousty w następnym roku zdobył powtórnie Wieleń, przyczem Gniwomir książę pomorski przez uderzenie w głowę pałką zabity został. Akta kościelne w Wieleniu (1) wspominają, że pod tym zamkiem założona osada, w roku 1230 prawo miejskie otrzymała od Benjamina hrabie-

jednak o tyle podlega wątpliwości, a przynajmniej sprostowaniu, iż wspomniany Benjamin z Grabowy był dopiero około r. 1264 wojewodą poznańskim. (2) W spisie także zamków, które r. 1234 Henryk książę wrocławski wojskiem swoim osadził, jak i w wojnie wielkopolskiej Grzymalczyków z Nałęczami r. 1383, mowa jest tylko o zamku, lecz nie o mieście Wieleniu. Zygmunt I r. 1515 nadał to miasto wraz z przyległościami Łukaszowi Górcie kasztelanowi, potem wo-



WIELEŃ. (Rysował na drzewie Cegliński).

miasteczko w w. k. poznańskim, nad rzeką Notecią. Jeszcze w pierwszych latach XII wieku stał na tém miejscu zamek pomorski, który według tradycji miejscowej, z powodu wielości jeleni w lasach okolicznych,

go na Grabowie, wojewody poznańskiego. Podanie to (1) Ob. Raczyńskiego Wspomnienia wielkopolskie t. II str. 117, przedrukowane także w Przyjacielu ludu r. IX t. II str. 354.

jewodzie poznańskiemu, nakoniec generałowi wielkopolskiemu, a od r. 1538 znów biskupowi kujawskie-

(2) Ob. Niesieckiego: Herbarz t. I i Sienkiewicza Skarbiec.

mu, w zamian za Pobiedziska. (3) Mówi także Niesiecki (4): „Znajduje się drugi list tamże, z którego dochodzą, że i wieluńskie dobra czyli raczej klucz, dla zasług jego tenże mu Zygmunt I nadał, (to jest Górcie), gdy jeszcze był kasztelanem poznańskim.“ Ten Wieluń znajdujemy często także nazywany Wieluniem, nie jest tu zaś zapewne mowa o Wieluniu w Sieradzkim, który był ciągle stołeczną ziemią i powiatu. Po Łukaszu Górcie posiadał Wieluń syn jego Jędrzej kasztelan poznański i generał wielkopolski, zmarły r. 1533, a następnie syn Jędrzeja, Stanisław Górcia wojewoda poznański, buski, kolski, moszyński i wieluński starosta, jak o tym świadczą akta grodu waleckiego. Wspomniany Stanisław r. 1557 zrobił dział z braćmi swymi ogromnych dóbr po ojcu pozostałych, przez które Wieluń pozostał w ręku jego. Umarł r. 1592, ostatni z tej rodziny, a wszelkie Górków posiadłości, przeszły do ich siostrzeńców Czarnkowskich, z których w działach r. 1593 wziął Wieluń Piotr Czarnkowski podkomorzy poznański. Ciekawe są te działy po Górkach, którzy najznaczniejsze dobra w Wielkopolsce, a nawet wiele innych znacznych dóbr w różnych częściach królestwa posiadali; wydrukował je Edward Raczynski w Wspomnieniach wielkopolskich t. I, w dodatku str. 35 i 44.

W r. 1595 nabył Wieluń od Czarnkowskich Krystyan margrabia brandenburgski, syn elektora Jana Jerzego, za 25,000 złotych węgierskich, z zastrzeżeniem prawa wykupu. (5) Niedługo jednakże ten majątek wrócił, jak się zdaje, do swego poprzedniego właściciela. Piotr Czarnkowski nie pozostawił po sobie potomstwa płci męskiej, a brat jego młodszy i zapewne spadkobierca, Jan kasztelan międzyrzecki, starosta drahimski, r. 1697 sprzedał Wieluń żonie swjej Zofii z Falsztyna Herburtównie za 130,000 zł. Ta umarła r. 1636, pochowana w kościele w Wieleniu. Była to niewiasta nad pleć swoją rozumu wielkiego, urody delikatnej i cnót niepospolitych, jak świadczy jej nagrobek. Żyła ona przed Czarnkowskim już także w drugim małżeństwie z Janem Kostką, wojewodzieciem sandomierskim, starostą świeckim i lipnieńskim, i z tego małżeństwa miała syna jedynego Jana Kostkę starostę lipnieńskiego, dziedzica Wielenia i miast Szamotuł i Wroniek, który umarł przed matką w zamku Lipnie, w trzydziestym trzecim roku życia, d. 24 maja 1624 r. Nieutulona w żalu matka po stracie jedynego, sprowadziła zwłoki jego do Wielenia i tu pochowała.

Ten Jan Kostka, prócz dwóch córek, miał także dwóch synów, którzy się dobrami na nich przypadłymi podzieliłi. Stanisław Franciszek starosta lipnieński wziął miasto wraz z dobrami Szamotuły i Wronki; drugi Mikołaj Aleksander otrzymał Wieluń, Górcę, Rawicz i Osiecznę. Następnie był Wieluń własnością Grudzińskich i Działyńskich. W r. 1687 dobra te wraz z zamkiem obronnym (fortalium) i majątkami Falmirowem i Łobzenią nabył Piotr Opaliński wojewoda łęczycki i generał wielkopolski od Jana i Jakuba Działyńskich za 1,260,000 zł. Córka tego Opalińskiego († 9 stycznia 1719, pochowana w Radlinie) była za Janem Sapiehą z Lachowic, starostą bobrujskim, zdiłowskim i sokołowskim, a wniosła w dom jego Wieluń, Koźmin i Rawicz, gdy brat jego młodszy Jerzy Felicyan Sapieha posiadał majątki Zerków i Dębno.

Jan Sapieha czas jakiś dzierżył buławę wielką w ks. litewskiego, złożył ją jednak dobrowolnie, z powodu wszczętych o to kłótni i niezgod pomiędzy szlachtą litewską, i został później feldmarszałkiem rosyjskim. Dzielnym i nieustraszoną w boju, co mu nawet sami nieprzyjaciele przyznawali, był obok tego równie surowym dla swych podkomendnych, jak nieubłaganym dla poddanych. Mieszkanie swoje i pałac miał w Radlinie, które to dobra podobnie do niego należały. Był także własnością jego Koźmin, a w ustach ludu tego miasta i okolicy, przechowały się dotąd podania o jego okrucieństwach, które może kiedy przy opisie Koźmina opowiemy. Lud także w Wieleniu liczne aż dotąd opowiada o nim szczegóły. Sapiehę przybywającego w niedzielę do kościoła wyprzedzał zawsze laufer, który trzaskając z harapnika, oznajmiał przybycie swego pana i zarazem dawał znak że na mszę dzwonić można. Miał zaś podobno w całej okolicy tak wielkie znaczenie i tak bardzo się go obawiano, iż nawet ludziom jego z drogi się umykano, gdy herb czy znak sapieżyński na pokryciu głowy mieli. Obok tylu dziwactw i okrucieństw, pozostawił Sapieha po sobie także w tej okolicy wspomnienie zasługi. Po powietrzu r.

1708 do 1740, gdy niemal wszyscy więksi panowie do opróżnionych i wyludnionych swych posiadłości sprowadzali osadników Niemców, Sapieha przeciwnie zaludnił wie swoje w dobrach wieluńskich samymi Mazurami, sprowadzonymi z Małej Polski, i ci w tej dość już ziemczoną okolicy przechowali aż dotąd nie tylko narodowość polską, ale nawet swój czysto mazurski dyalekt. Gdy piszący te słowa przed laty kilkunastu przypadkiem po raz pierwszy odwiedził targ tygodniowy w mieście ztąd niedalekiem Sierakowie, zdziwił się nadzwyczajnie słysząc naraz człowieka mówiącego dyalektem szepelińskim, jakby tylko co z pod Warszawy przybyłego. Sam dziedzic Sapieha, powróciwszy z Moskwy, osiadł w Rawiczu i tam umarł na suchoty d. 23 lutego 1730 r., pochowany w Radlinie. Miał trzech synów; z tych Paweł Sapieha starosta sokołowski objął Wieluń i umarł także w Rawiczu d. 7 lutego 1737 r., pochowany w Radlinie obok rodziców swoich. Następny znów dziedzic Piotr Sapieha, gdy miasto w zeszłym wieku prawie całkiem zgorzało, aby obywatelom w odbudowaniu się być pomocnym, kazał jedno skrzydło zamku swego rozebrać i ztąd wydobycie materiały budowlane potrzebującym podarował. Tak w mieszkańcach Wielenia przechowała się dotąd pamięć o Sapiebach, zarówno pod względem występku, jak poświęcenia i cnoty.

Ostatnim dziedzicem Wielenia z rodziny Sapiehów był książę Kazimirz Nestor Sapieha, marszałek litewski, zmarły w Wiedniu 1798 r. Odtąd dobra te, przez sąd sprzedane, przeszły w ręce niemieckie i były najprzód własnością hr. Blankensee, teraz zaś należą do hr. Schulenburga.

Mieszkaniem dziedziców Wielenia był początkowo wyżej wspomniany zamek, który może po raz ostatni występuje w dziejach r. 1627, w czasie trzydziestoletniej wojny, gdy oddział złożony z niedobitków generała Mansfelda, puścił się do Wielkopolski na łup i rozboje. Banda ta, złożona z około 4000 ruchawki rozmaitych narodów, a między niemi i Polaków, zrabowała około Wielenia wiele domów, kościołów i także zamek w Wieleniu. (6) Teraz za miastem, po drugiej stronie rzeki Noteci, stoi piękny pałac, wystawiony r. 1774 przez księcia Piotra Sapiehę. Stosownie do pomysłu architekta, gmach ten miał być naśladowaniem zamku w Rydzynie; lecz gdy śmierć właśnie w tym roku zabrała dziedzica, zaniechano dalszej budowy i pozostały dwie tylko strony zamierzonego czworoboku. W r. 1774, a więc wkrótce po wzniesieniu nowego pałacu, stała się w nim smutna przygoda, o której naoczny świadek pozostawił następną wiadomość. Liczny zjazd sąsiadów i znajomych księżny Sapieżyńny, dziedziczki Wielenia, uprzyjemniał jej pobyt w mieście w tymże roku. Dnia 7 grudnia przepędzali goście wieczorne chwile w bawialnej sali, którą tlejący słabo na kominie oświecał ogień. Wszczęła się rozmowa o duchach i pokutowaniu, a obecni kolejno jeden nad drugiego sadzili się w opowiadaniach okropnych wydarzeń tego rodzaju. W końcu mówić zaczęto o Lubrańskim, niedługo przed stu laty dziedzicu Gosławic. Jeden z gości opowiadał niezliczone tego człowieka okrucieństwa: jak końmi dzieci po drogach rozjeżdżał, jak palił domy, które mu widok zasłaniały, jak sług bożych prześladował i naleźnych im danin zaprzeczał. Zgadzano się powszechnie, że tak nieludzkie postępowanie ujęć kary niebios nie mogło; jakoż opowiadano, że Lubrański po śmierci na stulecie skazany męki czyscowe, cały w ogniu często w Gosławicach się ukazywał. Naraz wśród tego opowiadania dał się słyszeć krzyk okropny w pobliskim pokoju i w otwartych drzwiach ukazała się osoba cała w płomieniach. Zgromadzeni, sądząc że Lubrański przed nimi staje, nie zważając na wołanie o pomoc, w przeciwną stronę uciekać zaczęli. Była to zaś generałowa Dębska, jedna z goszczących, której suknie przy kominie od ognia się zapaliły i właśnie w czasie tego opowiadania płomieniem buchnęły. W prerażeniu wybiegła ona do zebranych w pobliskich pokojach przyjaciół, lecz pozbawiona ich ratunku, w płomieniach życie utraciła. (7)

Kto i kiedy założył kościół parafialny w Wieleniu, niewiadomo. Wzmiankę o nim po raz pierwszy napotykaemy w księdze beneficjorum z r. 1510. W r. 1615 ówczesna dziedziczka, Zofia z Herburtów Czarnkowska, wystawiła nową świątynię z palonej cegły, wraz z kaplicą dziedziców Wielenia z prawej strony kościoła, jak się pokazuje z wizyty Strzałkowskiego z r. 1628. Nowowystawiony ten kościół został poświęcony w r. 1632 przez Jana Bajkowskiego sufragana poznańskiego, pod tytułem Wniebowzięcia N. M.

Panny i św. Michała archaniola, gdy początkowy był tylko pod tym ostatnim tytułem. Poświęcono wtenczas także kaplicę św. Stanisława czyli Czarnkowskich i św. Anny, w której było bractwo tej świętej. Dokument erekcyj i inne dokumenta tak kościoła jak i szpitala, w czasie pożaru probostwa zniszczone zostały i znajdują się tylko wizyty kościelne, pisane w łacińskim lub polskim języku.

Chociaż Wieluń zostawał niemal ciągle, z wyjątkiem tylko najnowszych czasów, w posiadaniu najmniejszych rodzin wielkopolskich, pomimo tego kościół tujszy ubogim jest w nagrobki z upłynionych czasów. Wyliczymy je tutaj, wstrzymując się tylko od przytoczenia napisów w całej rozciągłości.

W presbiterium wisi obraz ks. Łukasza Klejskiego proboszcza wieluńskiego, ur. r. 1584, zmarłego r. 1668, który był proboszczem tujszym przez lat 44.

W kaplicy św. Stanisława czyli Czarnkowskich wieszają na ścianie dwie tablice miedziane, w ogniu złoczone, poświęcone pamiętce wyżej wspomnianych Jana Kostki starosty lipnieńskiego i matki jego Zofii z Herburtów Kostkowej. W sklepie pod tą kaplicą znajdują się trumny obojga. Trumna Jana Kostki jest cynowa, długości 6 1/4 stóp, różnemi pięknej wydatnej roboty herbami, figurami i arabskimi ozdobiona; zawiera w sobie drugą dębową trumnę, wybitą wewnątrz czerwonym adamaszkiem, a w niej spoczywa ciało Jana Kostki, w całości jeszcze zachowane. Zda się iż trumnę tak ozdobną przeznaczyła matka zmarłemu synowi swemu zarazem na pomnik. W drugiej trumnie, także cynowej, spoczywają zwłoki Zofii z Herburtów Kostkowej, która ten kościół wystawiła.

Dalej jeszcze znajduje się w tym kościele napis i wizerunek na płótnie malowany Piotra z Lachowic Sapiehy, wojewody i starosty generalnego smoleńskiego, zmarłego w Silejnie w Węgrzech d. 23 stycznia 1774 r.

Przy wielkiej bramie kościelnej na lewo tkwi w murze kula, pochodząca, jak powiadają, z czasu najazdów szwedzkich.

Kronika tygodniowa.

Było nas wieczorem w pokoju trzy kobiet i trzech mężczyzn i rozmawialiśmy z sobą półgłosem.

Na stole paliła się lampa, na kominku zarzyły się węgle.

Rozmawialiśmy o rzeczach poważnych. I dziwna to była rozmowa, każdy bowiem z nas był więcej w sposobieniu słuchania aniżeli mówienia, co rzadko bardzo zdarza się pomiędzy ludźmi naszej narodowości.

Ktoś wspomnił o kwestjach ogólnych, o postępie, o doskonaleniu się ciągłym plemienia ludzkiego, o przyszłym braterstwie i szczęściu narodów.

— Przynależem.... odezwała się jedna z kobiet. Człowiek zawsze w przyszłości musi szukać szczęścia, jeżeli go nie znajduje wkoło siebie. Przyszłość i przeszłość, wielkie słowa, ale jakże często w myślnym brance znaczeniu!

— Jak pani to rozumie?

— Życie nasze w ogóle składa się z dwóch różnych sobie połów. Granice pomiędzy niemi oznaczyć bardzo jest łatwo. Jedna połowa życia naszego upływa na nadziei, druga na żalu. Innemi słowy, przez całą naszą młodość i część wieku dojrzałego roimy sobie szczęśliwą przyszłość, która nigdy się nie ziści, a potem... potem załujemy dni już minionych, które nam się zdają szczęśliwszemi i lżejszemi od tych, co nam ciężą obecnie.

— Słusznie pani mówi, odezwał się jeden z mężczyzn. Prawdziwe życie tak człowieka jak pokolenia, narodu, a nawet ludzkości całej, istnieje dopóty, dopóki ta nadzieja trwa jeszcze. Ci którzy poczynają lubować się w przeszłości, to szkielety ciał i dusz szkielety. Od nich niczego pięknego, niczego wzniosłego spodziewać się nie można. Ta nadzieja, to życie przyszłości, jest właśnie prawdziwą duszą co nas ożywia, to wzrok nasz wzniesiony ku niebu. Niech się pochyli ku ziemi, a opuszczą nas siła, energia, twórczość, w ogóle wszystko to co człowieka w górę unosi, co stanowiło główną myśl Mickiewicza, kiedy swojego Farysa napisał.

— Jest wiele prawdy w tym rozumowaniu, ale niezupełnie zgadzam się na nie. Pańskie zdanie ponadto wyłącza, za bardzo jednych na korzyść drugich upokarza. I ci są konieczni, i tamci potrzebni na świecie; bo jeżeli przestajemy mieć nadzieję dla siebie, w takim razie owo ja zastępują nam dzieci nasze, przyszłe pokolenia; żyjemy w nich, pracujemy dla nich, spodziewamy się dla nich błogostawieństw

(3) Codex diplomaticus Majo. Poloniae, str. 202.

(4) Herbarz edyc. Bobrowicza, t. IV str. 204.

(5) Raczynski, Wspomnienia wielkopolskie, według akt grodzkich poznańskich t. II str. 120.

(6) Ob. ks. kano. Jabeżyńskiego: Wiadomość historyczna o mieście Dolsku, str. 130.

(7) Wspomnienia Wielkopolskie i Przyjaciel ludu, jak na początku.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

30 stycznia.

losu; a to może lepiej i szlachetniej, niż gdybyśmy wyłącznie o własnej tylko przyszłości marzyli.

— Oj te przyszłe pokolenia, rzekł inny z mężczyzn, wielkie to i silnie brzmiące słowo i u wielu ciągle jest na ustach. Ale pytanie czy słusznie. Z czegoż te pokolenia składają się, z czegoż się mają składać? Z jednostek takich jak my. Czy życie ich się przedłuży, choć o jedno zdźbło? czy będą one uwolnione od tych cierpień, od tych dolegliwości jakich my doświadczamy? czy nie przemkną, tak jak my, chwilowo po tej ziemi, żeby dążyć do nieznanego? Gdybyśmy mieli przekonanie, że potomkowie nasi będą dziedzicami życia, godziłoby się zapewne pracować dla nich i poświęcać w tym celu wszystko; ale będą oni, jak my, biednymi komornikami tylko, dzierzawcami nie mogącymi się tu stale usadowić, dla których termin dzierzawy zawsze zbyt prędko nadejdzie. I tak dalej i dalej przez wieki. Więc pytam, się dla kogóż pracować i spodziewać się?

— Dla kogo? odezwała się jedna z kobiet. Alboż ten łańcuch pokoleń następujących po sobie nie jest krwią ze krwi, kością z kości naszych? Wszak człowiek oprócz swojej osobistości, ma jeszcze solidarność z ogółem, a to nietylko z ogółem żyjącym, ale z tymi co już przeminęli, z tymi co się dopiero narodzą. Jest on cząsteczką drobną, z której sędzić nie można o całości, dopóki gmach nie stanie w zupełnej okazałości swojej. Wówczas dopiero ludzkość osądzi i przykłaśnie.

— Więc mniema pani iż warunki życia naszego zmieniają się naowczas, że zniknie głód, że ustaną choroby epidemiczne, ubóstwo, febrzy, reumatyzmy i wszystko złe trapiące ludzkość. A chociażby nawet tym wszystkim niedostatkom zaradzić można, czemu najzupełniej przeczę, czyliż duch pozostanie w nas zawsze silnym i energicznym, czyliż pojęcie nie będzie się ścieśniać z latami, nie osłabnie pamięć, nie zmieniają się wyobrażenia? Oszczędź pani tym przyszłym pokoleniom biedy, choroby, starości, upadku na duchu, a uwierzę że będą mogły być choć względnie szczęśliwymi. Ale dopóki tego nie będziemy w stanie dokazać, a wątpię żebyśmy kiedy mogli dojść do tego, nie mam wielkiej nadziei dla tych nieodrodných potomków naszych.

— To wszystko na co pan wyrzekasz, odezwał się ktoś milczący dotąd, dzieje się tylko poczęści z własnej naszej winy. Bo tak jak klęskami które ją trapią, ludzkość odpokutowywała przewinienia swoich ojców, tak samo wszelkie niedostatki ciała i ducha nawet idą w ślad za nadużyciem albo złem użyciem tego, co nam Bóg w szcudrośliwości swjej udzielił. Więc w naszej woli, w naszej mocy jest ustrzedz się od nich, przynajmniej do czasu jaki nam natura oznaczyła za kres naszego życia, a którego, jak się zdaje, cofnąć nam ani odroczyć niepodobna. Ot wiecie państwo co, rozmowa ta przypomina mi przypowieść wschodnią, którą nie pamiętam gdzie i kiedy czytałem.

Kiedy Pan Bóg stworzył i niebo i ziemię, i trawy ziemskie i krzewy, i zwierzęta wszystkie i człowieka nareszcie, w sześciu dniach dokonawszy wszelkiego stworzenia, odpoczął w siódnym po pracy. A wówczas wszystko co żyło zgromadziło się około Boga, żeby usłyszeć z ust jego wyrok, jakie to będzie to życie, które on stworzeniu swojemu nadał.

I zbliżył się najpierwszy człowiek, a Bóg rzekł do niego:

— Uczyniłem ciebie na wyobrazenie i podobieństwo moje. I będziesz przełożony rybom morskim, ptakom powietrznym, zwierzętom i płazom. Napelnisz ziemię i będziesz panował nad nią. Bo dałem ci rozum, który rozjaśni przed tobą drogi, i wolę, która kierować tobą winna. To ci starczy za siłę i za żywotność wielką innego stworzenia. Będziesz miał głowę wzniesioną ku niebu, będziesz mógł myśleć ogarnąć nietylko tę ziemię, ale i inne światy; wszystko będzie się korzyć przed tobą i ustępować tobie, i będziesz prawdziwym królem ziemskim. A na używanie tego wszystkiego lat tobie życia naznaczam trzydzieści.

A człowiek rzucił się na kolana i zawołał:

— O Panie Wszechmocny! Jeżeli mam być królem stworzenia, panować nad wszystkiemi i pojmować ciebie w ogromie dzieł Twoich, dla czegoż tak krótki tylko czas naznaczasz dla panowania mego, dla szczęśliwości mej? Dodaj mi jeszcze lat życia, o Przedwieczny! niech przez dłuższy czas na tej ziemi zdołam chwalić i uwielbiać dzieła Twoje.

— Tak rzekłem, odpowiedział Bóg, i tak się stanie. I człowiek oddał się, szmerząc przeciw wyrokowi Boskim i stanął na uboczu.

Wówczas zbliżył się wół i Bóg rzekł do niego:

— Ty będziesz silnym i wytrwałym, więc cię przeznaczam do pracy. Włożą na ciebie jarzmo i będziesz ciężki pług ciągnął po ziemi, żeby upłodniona twym

znojem, rodziła podostatkiem zboża pożywnego. Będziesz całymi dniami pracował w wielkim trudzie, a zato otrzymasz lichą strawę i lichszy jeszcze wypoczynek. I chociaż robić będziesz nad siły, będą cię bić i poganiać, a ty musisz cierpieć i iść ciągle pod jarzmem. I będziesz żył lat trzydzieści.

A słysząc to wół zapłakał i zawołał żałosnym głosem:

— O Stwórco Wszechmocny! Jeżeli życie moje ma być tylko ciągłym znojem i trudem, jeżeli mam wiesznie chodzić w jarzmie, pracować dla drugich, a samemu żadnej z tego nie mieć korzyści, jeżeli za moją pracę i trud, razy tylko będę otrzymywał, to skróć mi Panie to nędzne życie moje, niechaj tyle lat nie bięduję na tym świecie.

A usłyszawszy to człowiek cheiwy życia, zbliżył się i błagał:

— O Panie! te lata których on nie chce, mnie racz dołożyć. Daj mi dziesięć lat z życia tego wołu, przyjmę je z wdzięcznością, bo przedłużą one zakres pobytu mego na ziemi.

I Bóg w sprawiedliwości swojej rzekł:

— Niechaj się stanie tak jako pragniesz.

Wówczas przybliżył się paw i Bóg rzekł do niego: — Ty będziesz miał piękną powierchowność i złociste pióra, i wszelkie barwy będą mienić się na tobie. Ale głupstwu swojemu gwoli będziesz roztaczał ogon na słońcu i sam się dziwić będziesz swjej piękności i wszelkim ozdobom swoim. I inne stworzenia ziemskie wymiwać się z ciebie będą, jakoś ty beużyteczny, a puszysz się tem, co nie jest twoją zaletą. I będziesz żył lat trzydzieści.

A paw na to:

— O Panie! jeżeli mam być pośmiewiskiem zwierząt i życie moje ma tak beużytecznie upływać na świecie, to skróć mi lata tego życia, tak jak skróciłeś wołowi, bo i na cóż mi wlec tak długo nędzne istnienie swoje?

A człowiek, słysząc to, zbliżył się i prosił o dziesięć lat tego życia, które się pawowi tak długim wydawało.

I Bóg zezwolił na to.

Dalej zbliżył się pies i Bóg rzekł do niego:

— Ty będziesz wiernym sługą swojego pana. Będziesz ostrzegał go o niebezpieczeństwach i szczekał na złoczyńców. Będziesz pilnował skarbów, sam z nich nie użytkując. Bić ciebie będą i katować, a ty całować masz rękę pastwiącą się nad tobą. I będziesz żył lat trzydzieści.

I psu bardzo ciężki był ten wyrok i zawołał:

— Panie! skróć mi nędzne to życie. Bo kiedy przeznaczenie moje ma być tak smutne, pocóż mi wlec tak długo ciężkie dni na ziemi? Wszakże miłośniy jesteś wszemu stworzeniu, uczyniżże zadość błaganu mojemu i niechaj nie cierpię tyle.

A człowiek, cheiwy życia, zbliżył się znów i prosił o owe lata, które pies odrzucał.

I w sprawiedliwości swojej dozwolił Bóg, żeby życie człowieka przedłużyło się jeszcze o te dziesięć lat istnienia.

Wówczas zbliżyła się małpa i Bóg rzekł do niej:

— Ty jesteś stworzona na podobieństwo człowieka, ale nie zachowasz w sobie żadnej z tych cech wyższych, które jego odznaczają. Niezdolna będziesz myśleć, niezdolna czuć, niezdolna pojmować. Będziesz tylko przedrzeźniać czynności ludzkie, przypatruwszy się jedynie zewnętrznemu ich kształtowi, a w grunt nie zaglądnawszy. Będziesz zabawą i pośmiewiskiem innych, a nie będziesz umiała nawet pojąć jak smutną jest twoja dola. A życia na ziemi przeznaczam ci lat trzydzieści.

I biedna małpa poczęła także błagać o skrócenie tego kresu. Kiedy więc to usłyszał człowiek, zbliżył się i prosił pana o te dziesięć lat życia.

A Wszechmocny przystał na to jego żądanie.

Więc człowiek zaledwie trzydzieści lat żyje własnym swoim życiem, a reszta dni jego składa się z życia jakie wyprosił sobie od wołu, pawia, psa i małpy, dla których ciężar żywota za wielkim się zdawał na tym świecie. I w tém leży wyjaśnienie tylu smutnych i niedołącznych nałogów człowieka, na które w nieświadomości swojej skarży się nieraz, nie wiedząc, że sam cheiwością swoją je sprowadził.

Opowiadający przestał mówić, a ktoś zapytał się jeszcze, kiedy te trzydzieści prawdziwych lat życia człowieka mają się liczyć, czy z początku, czy z końca, czy ze środka?

Ale w opowieści wschodniej nie było podobno na to tłumaczenia, rzecz więc została nierozstrzygniętą.

Na tém zakończyła się rozmowa, i na tém zakończam także nieobfitą w szczegóły moją kronikę dzisiejszą.

Na posiedzeniu senatu francuzkiego w d. 26 b. m., ułożono projekt adresu tegorocznego. W izbie deputowanych wniesiono projekt rządowy, w przedmiocie wyznaczenia kilku milionów franków na wsparcie robotników normandzkich. Zapowiedziano także przedstawienie budżetu nadzwyczajnego na r. 1861. W ogólności rząd pragnie przyspieszyć prace ciała prawodawczego; obrady rozpocząć się mają z końcem b. m.; opozycya w osobie p. Juliusza Favre wystąpić ma z poprawkami w kwestyi rzymskiej i meksykańskiej. La France ogłosiła obszerny memoriał kardynała Antonelli, przesłany nuncyuszowi papieżkiemu w Paryżu. Memoriał wspomina o instytucjach administracyjnych i sądowych istniejących w państwie kościelném, tudzież o reformach jakie udzielone być mają Rzymowi w blizkiej przyszłości. Dzienniki londyńskie przyjęły z niezadowolaniem wiadomość o układzie rządu francuzkiego z wice-królem Egiptu, na mocy którego Egipt ustąpił dla Francji kilkaset żołnierzy murzynów. Odpowiadając na gorzkie żale londyńskiego dziennikarstwa, Monitor usprawiedliwia fakt tém, że murzyni nie ulegają żółtej febrze, i że względy ludzkości nakazują, aby użyć tych ludzi w miejsce Francuzów podpadających tej strasznej epidemii. Wiadomość o wzięciu Puebli, dotąd urzędowo potwierdzoną nie została. Jedna tylko France utrzymuje, że wojska francuzkie w d. 11 grudnia odległe były od Puebla na wiorst 30; jest to wszakże domysł tylko, Monitor bowiem nic o tém nie wie. Ostatni raport generała Forey z dnia 9 grudnia, zamieszczony w dzienniku urzędowym, wyraża tylko nadzieję, że jeżeli środki transportowe nadejdą na czas z Nowego-Yorku, to wojsko przyspieszy pochód na Pueblę. Admiral Jurien zajął Tampico, piechota zaś pod dowództwem generała Douay zajęła Palmar i San Andres. W dniu 26 b. m., w wielkiej sali pałacu luwrskiego, cesarz Napoleon rozdał nagrody odznaczającym się przemysłowcom francuzkim, za udział w wystawie angielskiej. Mowa cesarska zachęca przy tej sposobności społeczeństwo francuzkie do spokoju i poważnej pracy.

Rząd włoski wstępuje stanowczo na drogę prac wewnętrznych. Według ostatnich depezy, włoski minister wojny, działając w duchu polityki pokojowej p. Farini, zamierza na czas nieograniczony żołnierzy wziętych w r. 1856 i 1857. Z Turynu donoszą o przyjeździe bankiera francuzkiego Pereiry. Pan Bastoggi ma nadzieję zawarcia pożyczki. Minister marynarki p. Ricci podał się do dymissyi, z powodu że nie został powtórnie wybrany w Genui na członka parlamentu. Miejsce jego zajmuje p. Negro.

Kommissya budżetowa izby poselskiej w Berlinie przystąpiła do przedwstępnych czynności. Kommissya zając się ma rozpoznaniem budżetu z r. 1863 i uchwaleniem przeszłorocznego. Posłowie polscy na sejm berliński ukonstytuowali swe koło w d. 22 b. m. Prezydującym obrany p. Bniński członek izby wyższej, sekretarzem p. Dekowski, zastępcą p. Łubiński; członkami kommissyi pp. Bentkowski, Żółtowski i Libelt, zastępcami: pp. Janiszewski i Kantak. Pan Prusinowski obrany został kwestorem koła sejmowego. Z Wejmaru piszą pod datą 27 stycznia, że książę koburgski odmówił stanowczo przyjęcia korony greckiej. Depesza z Kassel doniosła o samobójstwie generała Haynau.

Wszystkie depezy odebrane z Ameryki jednoznacznie głoszą o niepowodzeniu federalistów. Ośmiomniowa walka pod Vicksburgiem zakończyła się z wielką dla północnych stratą. Pięć tysięcy federalistów legło na polu bitwy, w tej liczbie i generałowie Smith i Morgan. Generał Horey z 1500 ludzi dostał się do niewoli. Separatyści zdobyli nadto kilka miast w Missisipi: Trenton, Humboldt i Uniontown, tudzież Galveston w Texas. W tym stanie rzeczy pogłoski o usiłowaniach Francji celem pogodzenia stron powaśnionych, mile zapewne przyjęte będą w Waszyngtonie. W rzeczy samej, Patrie z d. 26 b. m. zapewnia, że p. Drouyn de Lhuys polecił p. Mercier posłowi francuzkiemu w Waszyngtonie, aby wystąpił z nową propozycją. Francya radzi aby zgromadzeni delegowani z New-Yorku i Richmondu przystąpili do obmyślenia środków pogodzenia, bez udziału mocarstw zagranicznych. Wiadomość ta nie ulega żadnej wątpliwości.

(Ind. Bel., Patrie, Schles. Ztg., Jour. de Deb., Const.)

ILLUSTROWANE PRZYSŁOWIA.

WIEDZA SASIEDZI



Co to za pani ta,
Co tam zdyszana mknie,
Różaniec w rękę ma,
Pod pachą księgi dwie?
Blasz jej polyska z lic,
A za nią leci... szpic.

Ach! to białogłów wzór,
Wychodzi skoro świt,
Ładuje książki w wor
I śpieszy, lecz gdzie?—cyt!
Oj cyt, bo pani ta
Jeżyczek ostry ma...

A toż co za pan to,
Czerwony niby lis,
Co mu tak ręce drżą,
A wzrok koszlawi zyz?
Papuzi jakiś nos
I akt pod pachą stos.

O! to jurysta znan,
Spytajcie tylko stron,

Z pieniactwa srogich ran
Jak chlubnie leczy on.
Lecz cyt! za słaby rym
Na czci dla niego dym...

A ten co tak wznosił łeb
I dumnie wargi wzdął,
A jubilerski sklep
Na siebie cały wziął,
Co mu tak oczki lśnia,
Jakby brał sto za sto?...

E! to uczciwy duch,
Jak jego wzrusza łza,
A jaki tkliwy słuch
Na jęk niedoli ma.
Lecz cyt! bo trawi pan,
A to tak luby stan...

A dalej jeszcze w bok,
Cóż to za dziewczę, co
Tak sztucznie stawia krok,
I w śmiech twarz stroi swą?

Gdy się przybliżysz doń,
Pachnideł bucha woń.

To sylfid perla jest;
Młódź złota tylko zna,
Co wart jej każdy giest,
Co może śmiech lub łza.
Lecz cyt!—bo kto drwi z enót,
Do piekła dąży wrót....

O! jeszcze spojrzcie w dal,
Któż dryndą tak rznie w kłus,
Spowity w szkocki szal,
Choć trzaskający mróz?
Twarz biała, rzadki włos,
I w binokl zbrojny nos.

Już tylko chyba łyk
Nie wie co pan ten wart,
On przecie tworzy szyk
I ma już pałac z kart,
Był wprawdzie kiedyś zbit
Przy kartach—ależ cyt!....

OBRAZY NA SZKLE,

przeznaczone do kościoła św. Jana w Wilnie.

Z pomiędzy krajów europejskich, Litwa ostatnia przyjęła święty chryzmat chrześcijaństwa dopiero w końcu wieku XIV. Nim jej nawrócenie stało się powszechnym, nim zapał religijny przeniknął masy i zdołał zachęcić je ku wyrażaniu swych uczuć w dziełach architektury kościelnej, wieki średnie tymczasem zeszyły do grobu, a z niemi i gotycyzm, będący wyrazem ich duchowego polotu ku niebu. Zład poszło, że kiedy Europa zachodnia zapełniła się świątyniami gotyckimi, kiedy nawet w tamtą stronę wysunięte krańce Polski mogą się pochłubić niejednym tego rodzaju zabytkiem, Litwa zaledwie kilka naliczyć może kościołów gotyckich, a w ich gronie jeden tylko kościółek św. Anny w Wilnie czystością stylu się zaleca.

Malowanie na szkle, będące podówczas uzupełnieniem budownictwa gotyckiego, tém bardziej rozwijać się nie mogło, kiedy i samych tego porządku świątyni do ozdabiania nie było. Dotychczas nie mieliśmy ani w Wilnie, ani w ogólności na całej Litwie żadnego okna kolorowego, coby nam np. świątynię Maryacką w Krakowie przypominało.

Teraz jednak i miasto nasze pochwalić się może pięknym tego rodzaju nabytkiem. Starożytny kościół św. Jana Chrzciciela, fundowany przez Władysława Jagiełłę wspólnie z innymi pierwszymi na Litwie świątyniami, otrzymał dziś z daru księcia z Kozielska Ireneusza Ogińskiego dwanaście obrazów na szkle malowanych. Wydawca Albumu wileńskiego, p. J. K. Wilczyński, jeden z najgruntowniejszych znawców sztuki malarskiej i dziejów jej w kraju naszym, uproszony przez księcia Ogińskiego, przyjął na siebie kierunek całej pracy, dał plan ogólny i szczegółowe do obrazów wzory. Podług tego planu i wzorów, obrazy zrobione zostały przez pp. Laurent i Gsell w Paryżu. Pracę wykonano z taką starannością, harmonią i czystością kolorytu, na jaką tylko dzisiejsze malarstwo na szkle zdobyć się może. Obrazy pp. Laurent i Gsell, dzięki tym zaletom, skwapliwie przyjęte zostały na przeszłoroczną wystawę powszechną w Londynie i nagrodzone medalem. Drzeworyt tu załączony wystawia, o ile to bez kolorytu zrobić można, podobiznę jednego z dwunastu tych obrazów, wy-

BIAŁOGRÓD (BELGRAD).

Białogród, stolica Serbii, położony przy spływie Sawy i Dunaju, z daleka wspaniały przedstawia widok. Polyskująca powierzchnia obu rzek; skaliste wzgórza, na którym wznosi się twierdza najeżona wieżami i wałami; białe minarety i zielone wyżyny, a ponad brzegami snująca się ludność w różnobarwnym stro-



Obraz na szkle, przeznaczony do kościoła św. Jana w Wilnie.

ju wschodnim—wszystko to silnie działa na wyobraźnię przybysza. Urok ten jednak znika za zbliżeniem się do miasta, w którego wnętrzu napotkasz wyłącznie prawie ulice ciasne, brudne, zawałone śmieciami, domy drewniane, niepozorne i zakopcone kawiarnie i sklepiki. Wyjątek stanowią tu tylko: cerkiew grecka, konsulaty, a zwłaszcza austriacki, którego dolne piętro zajmuje komora celna, i hotel zwany „no-

sując się jedynie do kształtu wapiennej skały. W najwyższym jej punkcie, z kądem oko w rozległym widoku ogarnia miasto, rzeki i okoliczne równiny, mieści się meczet i konak baszy belgradzkiego.

Rafał Józef Czerwiakowski,

NESTOR CHIRURGII W POLSCE.

(Dalszy ciąg.)

Rafał Józef Czerwiakowski, doktor filozofii i medycyny, profesor zwyczajny anatomii, chirurgii i sztuki położniczej w akademii jagiellońskiej, nadworny lekarz i radca (konsyliarz) króla Stanisława-Augusta, urodził się na Litwie pod Pińskiem, w majątności ojca, 1743 r. 24 października (według Moszyńskiego 1744 r. 24 maja). Początkowe wychowanie odebrał w domu rodziców; następnie uczył się w szkołach ks. pijarów w Pińsku. Tutaj już zdolnościami swojemi i szczególnym zamiłowaniem w językach starożytnych celując, zwrócił na siebie uwagę nauczycieli, w skutek czego, niewiedomo czy własnym przekonaniem, czy wpływem nauczycieli kierowany, przyjął suknię pijarską 17 października 1762 r. Oddany z całą gorliwością naukom duchownemu stanowi właściwym, gotując się do stanu nauczycielskiego, najbardziej jednak upodobał sobie nauki przyrodzone i lekarskie, i od r. 1765 23 czerwca, po wykonaniu uroczystych ślubów, od których jednak później przez stolicę apostolską został uwolniony, zostawał przy apotece pijarskiej w Lubieszowie. W r. 1771, dla ukształcenia się w naukach lekarskich, Czerwiakowski kosztem pijarów wysłany do Włoch, przybył do Rzymu i tutaj przez lat pięć uczył się filozofii i medycyny, a przez trzy lata ćwiczył się w praktyce lekarskiej w szpitalu św. Ducha w Saxia, który sławę swą chirurgiczną zawdzięczał Józefowi Flajani, jednemu z największych w owe czasy chirurgów włoskich. Tutaj nauczycielami Czerwiakowskiego byli Toncius, Mora, Apulius i Vinciguerra. Dnia 16 marca 1776 r. Czerwiakowski, po świetnie złożonym egzaminie, zaszczycony został stopniem doktora filozofii i medycyny; od tego czasu sława jego zaczęła dochodzić ojczyźnych przegów, i dwie nasze główne odradzające się szkoły wyrzywały go sobie, przewidując w Czerwiakowskim przyszłą swą chlubę.



BIAŁOGRÓD (BELGRAD) STOLICA SERBII.

konanego podług pierwotworu Szymona Czechowicza. Kościół archidiecejalny św. Jana w Wilnie, z pomiędzy fundowanych przez Jagiełłę jedyny co dochował przynajmniej w zewnętrznej postaci ścian swojej pierwotkowej fizygnomią, nie mógł odpowiedniej być ozdobionym.

W. Korotyński.

wa zdania". Godne widzenia także są szczątki pałacu niegdyś księcia Eugeniusza.

Twierdza, lubo obecnie w obronniejszym jak przed ostatnią wojną znajduje się stanie, nie mogłaby jednak i teraz regularnego wytrzymać oblężenia. Zbudowano ją, jak się zdaje, bez żadnego systemu, sto-

Z jednej strony ks. Massalski, biskup wileński, wzywał Czerwiakowskiego na profesora chirurgii do akademii wileńskiej, z drugiej Kollataj i ks. biskup Poniatowski przeznaczali go do wszechnicy jagiellońskiej. Wezwania te, tak zaszczytne dla młodego lekarza, dodały Czerwiakowskiemu nowych sił do dal-

szego i gruntowniejszego kształcenia się w obranym i gorąco przez siebie polubionym przedmiocie. Jakoż żeby godniej odpowiedzieć powołaniu do jakiego się gotował, pozostał Czerwiakowski jeszcze przez trzy lata za granicą, w ciągu których zwidził wszystkie prawie akademie włoskie, sam się ucząc i badając sposoby wykładu chirurgii. Zaczął od Neapolu; ztąd udał się do Bononii do sławnego chirurga Tacconi; następnie uczył się we Florencji u Pallucci, u Ambrozo Bertrandi w Turynie, w Padwie u Brugnatelli i Brera. Z Włoch powędrował do Wiednia, a ztąd do Francji, klasycznej ziemi chirurgii, której też w Paryżu wyłącznie się poświęcił. Najświetniejsza wtedy była epoka chirurgii francuskiej: zrodzona we Francji przez Lanfranchi i Jana Pitard (1268), pielęgnowana następnie przez Guy de Chauliac (1300-1363) i Ambrozo Paré (1510-1590), od r. 1490 wykładana na uniwersytecie w Montpellier, a od 1542 w Paryżu, — chirurgia już kilka świetnych epok swęj sławy przeżyła, a później doszła do najwyższego blasku, kiedy staraniem Lapeyronie, Maréchal, J. L. Petit i Quesnay utworzono akademię chirurgiczną (1731-1792), której prace dla dzisiejszych nawet pokoleń pod wielką względami są wielce szacowne. Jeżeli jeszcze przypomniemy, że na owe czasy przypada i założenie pierwszej kliniki chirurgicznej w Paryżu przez znakomitego Desault'a, do którego tysiące słuchaczy biegło z całej Europy, to przyznamy, że Czerwiakowski znalazł się tutaj w najwłaściwszym dla siebie żywiole, liczył bowiem najlepszych profesorów na dziesiątki, jak: Louis, Morand, Sabatier, Chopart, Sui, George de la Faye, Ravston, Ponteau, Jourdain i wielu innych, spotykał na każdym kroku starą naukową tradycją, i co najważniejsza, z Paryża wyniósł ten szlachetny zapal do chirurgii, który go odznaczał do ostatnich chwil życia. Z Paryża udał się Czerwiakowski do Berlina, gdzie przedewszystkiem poświęcił się akuszerji, a ztąd już, po 9-cio-letnim pobycie za granicą, z uzbieranym skarbem wiadomości, pośpieszył do ukochanej ojczyzny, która go z niecierpliwością oczekiwała.

W r. 1779 spotykał Czerwiakowskiego w Pińsku, w objęciach utęsknionej rodziny; niedługo jednak nią się cieszył, bo 5 listopada tegoż roku powołany przez księcia Poniatowskiego, prezydującego w komisji edukacyjnej, do wszechniczy jagiellońskiej na profesora anatomii, chirurgii i położnictwa, przybył do Krakowa i d. 16 listopada 37-letni piękny zawód słuźenia ojczyźnie rozpoczął. Czerwiakowski wtedy liczył dopiero 36 lat wieku, zatem połowę swego życia niósł w ofierze rodakom.

Od tej chwili zaczyna się samodzielne życie Czerwiakowskiego na zewnątrz: staje on w obec szkoły jako profesor, w obec społeczeństwa jako człowiek, w obec nauki jako pisarz. Pod wszystkimi temi względami poznamy go okrytego wawrzynami, które tém są zaszczytniejsze, że na każdym polu sam sobie torować musiał drogę.

Starodawny zwyczaj chciał, że każdy profesor, przed rozpoczęciem publicznego wykładu, bronić musiał rozprawę pro professoratu; w tym celu Czerwiakowski wygotował dziełko p. n. *Wywód o narzędziach cyrulickich*. W pierwszej tej naukowej pracy (1) opisał narzędzia używane w chirurgii i do rozbioru anatomicznego ciała potrzebne; na końcu dziełka dodał 42 twierdzeń w języku łacińskim, z różnych gałęzi umiejętności lekarskiej. Po obronie rozprawy (16 listopada 1779 r.), Czerwiakowski powitany został uroczysto w imieniu akademii przez profesora Czochrona, a 14 stycznia 1780 r. do praw i swobód profesorom akademii słuźących przypuszczony, 15 września t. r. mianowany rzeczywistym professorem. Czerwiakowski miał do wykładu trzy przedmioty: jeden z nich — anatomia opisowa ciała ludzkiego, chociaż oddawna dorywczo wykładany przy akademii krakowskiej, ale bez otwierania ciał ludzkich i bez okazów, małą przynosił uczącym się korzyść. Czerwiakowski, wiedząc że za granicą przesąd co do otwierania ciał ludzkich dawno już upadł, staje na rodzinnej ziemi jako reformator; otwiera prosktoryum anatomiczne i pierwszy zaprowadza w Krakowie rozbiorenie ciał ludzkich. Uczniowie przyklaskują tak pożytecznemu dziełu; ale na wieść o tej nowości, szerzy się pomiędzy gminem niezmiernie oburzenie: profesora obwołują heretykiem i zagrażają jego życiu. Czerwiakowski z początku zasłania się wojskową strażą, prędko jednak słodyczą obyczajów jedna sobie serca tegoż samego ludu, z heretyka staje się jego ojcem-pocieszycielem, a anatomia raz na zawsze wolność publicznego nauczania w Krakowie Czerwiakowskiemu zawdzięcza. Niemala to zaiste za-

sluga. Po 5-letnim wykładzie, anatomia zostaje odłączoną od chirurgii i oddzielnemu profesorowi Wincentemu Szastrowi powierzona. Zastuga uznania tak prędkiego w Krakowie znaczenia anatomii w lekarskiej nauce, także się Czerwiakowskiemu należy. Rozprawy jego, mianowicie: „Nauka o kościach i nauka o trzewach“ r. 1779, i „Mowa przy otwarciu szkoły anatomii“ r. 1781, niemala się przyczyniły do podniesienia tej nauki w kraju; obie te prace pod dziś dzień są jeszcze w rękopisie. Czerwiakowski, jako profesor położnictwa, pełnił ten obowiązek przez lat 16, do 1796 r. Pierwiastkowo wykladał w szpitalu akademickim w gmachu św. Barbary, a od r. 1788 w klasztorze karmelitów bosych na Wesołej. Jak w urzędzeniu szpitala akademickiego, tak jeszcze bardziej szpitala św. Łazarza, Czerwiakowski czynny miał udział. I w położnictwie niemala też położył zasługi; pozostawił nam kilka dzieł w tym przedmiocie, świadczących o niezmiernie gorącej i głębokiej nauce jego, obok gorącej chęci stania się użytecznym społeczeństwu. Prace te są następujące: 1) Nauka położowania dla niewiast 1780 r. 2) Prawidła dla cyrulików 1784 r. 27 rycin w 4ce. 3) O położnictwie w powszechności, 1784 r. 4) Nauka dla rodziców roztrępnego chowania dzieci, 1804 r. Na szkodę nauki i ludzkości, prace te są w rękopisach jeszcze. Stanisław August, ceniąc zasługi Czerwiakowskiego, udzielił mu godność nadwornego lekarza i radcy 1783 r. 18 kwietnia. (2)

Poznaliśmy Czerwiakowskiego zaszczytnie na polu anatomii i położnictwa; prace jakie dokonał w tych gałęziach, wysoko go stawiają; największe jednakże zasługi położył na polu czystej chirurgii, i tutaj najpiękniejszy dla siebie uszczknął wieniec, który w najpóźniejszej jeszcze przyszłości skronie jego zdobić będzie. Na tém polu pracuje Czerwiakowski w potrójnym kierunku: chce zaszczerpić chirurgią, nową naukę, na gruncie polskim, przygotować dla kraju zdolnych operatorów i wzorów, w całości obejmującym chirurgią dziełem, z bogacić ubożuchną pod tym względem literaturę polską; wszędzie jednakże napotyka największe trudności, z którymi do ostatniej chwili życia walczyć musiał. Pomimo zaprowadzonej przez Kołłątaję reformy w szkole krakowskiej, pomimo uzupełnienia wydziału lekarskiego naukowemi katedrami i obsadzenia ich uczonymi profesorami, przesąd w narodzie do uczenia się medycyny, a zwłaszcza chirurgii, trwał ciągle; na wydziale lekarskim szkoły krakowskiej uczniów było zwykle mało, a ztąd szuła ilość lekarzy nie odpowiadała potrzebom kraju. Czerwiakowski rozumiał dobrze, iż od razu trudno jest zbudować wielkie rzeczy, bolała go obojętność rodaków, ale zarazem dawała mu popęd do ciągłej czynności, i jako obywatel dbał o dobro kraju, r. 1783 za pośrednictwem rektora uczynił wniosek do rady nieustającej przy boku króla, aby wszystkie miasta królewskie w całym kraju uczniów na nauki lekarskie do akademii krakowskiej przysyłały, w skutek czego dwa uniwersały z woli króla w latach 1784 i 1785 wydane zostały. Szkoła główna, chcąc sama przysięść w pomoc miastom, utworzyła u siebie bursę i za utrzymanie i naukę uczniów naznaczyła rocznej płacy tylko 240 złp. Pomimo to wszystko usiłowania Czerwiakowskiego długo jeszcze rozbiły się o zastarzałe przesady narodu. Walczył jednak z przeciwnościami i wierny raz wytkniętemu celowi, śmiało zdążył do niego. Wiedząc jak wielkie zajęła stanowisko chirurgia w całej Europie, że ją zaczęto uważać za podstawę i rękojmię trwałości medycyny, której kwestją życia lub śmierci sami lekarze nieraz już potracali, uznał za sprawiedliwe i konieczne, żeby i w Polsce przykładający się do chirurgii takim zaszczerpani bywali stopniem, jak uczący się samej medycyny, i to bez względu na religię. Piękna ta myśl odstania nam w Czerwiakowskim prawdziwego filozofa, wyższego nad przesady czasu i miejscowości. Z jednej strony przemawia on za uznaniem chirurgii w kraju, z drugiej woła o równouprawnienie stanów i wyznań w obec nauki i rozumu, tej ożywczej iskiarki bóstwa w człowieku.

Czerwiakowski, wykładem swoim przygotowawszy szkołę do podniesienia swych idei, chciał uzyskać dla nich sankcyę króla, i w tym celu wygotował gruntowną rozprawę „O szlachetności, potrzebie i użytku chirurgii w pożytku ludzkim, w wojsku, przy położeniu i w nauce lekarskiej.“ (3) Dziełko to należy do prac Czerwiakowskiego najgłębiej obmyślanych: gruntowna znajomość rzeczy, wykład jasny, czysta mowa, dają poznać w autorze niepospolitą naukę i szczególniejsze zamiłowanie w chirurgii, obok miłości kraju;

(2) W r. 1782 napisał rozprawę: O lekarstwach w powszechności. W r. 1785 O chorobach miejscowych. W r. 1806 O chorobach w ogólności.

(3) W r. 1780 napisał rozprawę: O przymiotach dobrego chirurga. W r. 1805, Chirurgią dla początkujących cyrulików.

jest to praca sumienna, w której mówiąc ze czcią prawie religijną o nauce chirurgii, wciąż przypomina chirurgom o konieczności kształcenia serca. Rozprawę tę d. 12 maja 1791 r., w dniu imienin Stanisława Augusta, odczytał Czerwiakowski na publicznym posiedzeniu szkoły głównej koronnej, a następnie przesłał ją królowi przy oddzielnym liście, w którym mówiąc o kwitnym stanie chirurgii we wszystkich prawie oświecenijszych krajach i o wspieraniu jej przez monarchów, prosi króla o zrównanie w prawach chirurgii z medycyną, kiedy zlanie się tych dwóch głównych gałęzi lekarskiej wiedzy we wszystkich już prawie krajach ostatecznie nastąpiło. Na list Czerwiakowskiemu odpisał Stanisław August pod d. 3 września 1791 r., przysyłając mu złoty medal zastugom jedynie poświęcony, w następujących słowach:

„Mości panie Czerwiakowski! Powszechnie pragnący widzieć we wszystkich udziałach pomnażającą się skuteczną staranność ulepszenia w ojczyźnie naszej, odbieram z wdzięcznością dowód takowych starań z osoby w. pana, w liście jego bez daty przesłaną pocztą odebranym. Nie omieszkać contenta onego komunikować księciu jmei prymasowi, jako prezesowi komisji edukacyjnej, na chwałę i zaszczyt w. pana, do której łączę upewnienia prawdziwego szacunku i affektu, wraz z medalem, jedynie zaslugom przezemnie poświęconym. Stanisław August król.“

Czy w skutku tego wydane zostały jakie rozporządzenia ze strony komisji edukacyjnej, nie wiemy; polityczne wypadki szybko jedno po drugim następujące, mogły być ku temu przeszkodą. Czerwiakowski w liście swoim do Stanisława Augusta powiada, że chirurgia teraz obok medycyny stawiona, we wszystkich prawie oświeconych krajach kwitnie.

Dla lepszego zrozumienia tych słów Czerwiakowskiego: „chirurgia teraz obok medycyny stawiona,“ uważamy za konieczne choć w kilku słowach wykazać wzajemny stosunek tych dwóch gałęzi lekarskiej wiedzy w kolei wieków.

Przedmiotem nauki lekarskiej jest człowiek w stanie zdrowia i choroby. Stosownie do pojęć, jakie tworzyli sobie lekarze o istocie człowieka, o życiu, zdrowiu i chorobie jego, w ciągu wieków powstały liczne systemata czyli doktryny lekarskie, które jedno po drugim padały i grzebały się pod własnymi gruzami. Stosownie do poglądów, jakie doktryny czasowe wyrabiały o leczeniu chorób, lekarze czerpali na nie zaradce środki albo w okrażającej nas naturze, szukając ich w łonie ziemi, lub też naturalne jej czynniki, jak powietrze, wodę, zimno, ciepło, elektryczność i t. d. obracając na swą korzyść, albo nareszcie znajdowali je w użyciu ręki ludzkiej, częstokroć uzbrojonej instrumentem. Odpowiednio tym środkom używanym przez lekarzy, powstały rozmaite metody leczenia; zwołaniem rozmaitych metod dawano oddzielne imiona i tym sposobem powstały nasamprzód dwie niby oddzielne klasy lekarzy. Jedni z nich mieli leczyć choroby środkami branemi ze wszystkich królestw przyrody i dyetą, drudzy zaś użyciem ręki, czyli wykonywaniem operacy; pierwszych przewano terapeutami, czyli lekarzami właściwemi, drudzy otrzymali miano chirurgów czyli operatorów. Ten niewłaściwy podział, dokonany za czasów pogańskiej Grecji i Rzymu, zasiał pomiędzy wyznawcami nauki Eskulapa zaciętą walkę, która przetrwała prawie do XIX wieku. W starożytnym świecie medycyna jest najdroższym darem niebios, bogowie odkrywają tajemnice natury tylko swoim sługom, a kapłani przelewają te dobrodziejstwa na śmiertelników, którzy w zamian składają im dary. Operacje połączone są z przelewem krwi, zrzecze zaś ich wykonanie wymaga wprawy na trupach. Charakter kapłański sług pogańskich świątyni nie dozwalał im ani przelewu krwi, ani sekeyi trupów, zatem i zajmowania się chirurgią, która tym sposobem zostaje po za obrębem szkoły. Zakaz ten tradycyjnie przechodzi do religii chrześcijańskiej i mahometańskiej, i na fakultetach katolickich uniwersytetów, gdzie po większej części duchowni byli profesorami, pozostaje w całej sile. Dwie te gałęzie medycyny rozwijają się na oddzielnej drodze, na szkodę nauki zawsze sobie wzajemnie nieprzyjazne. Lekarze właściwi łączą medycynę z filozofią scholastyczną, lub też teozofią, i gubią się w czczych systematach filozoficzno-lekarskich, naukę ostatecznie w odmet pograżając; dumni ze swoich przywilejów, pogardzają chirurgami, sztukę ich nazywając *negotium sordidum*. Chirurgowie ze swojej strony, dalecy od ciemnej spekulacyi, mistycyzmem działając na wyobraźnię ludu, wykonywają swe operacje w skrytości, najczęściej w wieżach świątyni lub w podziemnych tajnikach, i dumni ze szczęśliwych nieraz rezultatów, na przekorę terapeutom, *ars divina* swą sztukę mianują. We Włoszech i Francji chirurgia najwcześniejszą znalazła dla siebie przytułek i opiekę; powstały tutaj całe familie chirurgiczne, które obaw-

(1) W r. 1776 przełożył na język polski dzieło Józefa Liętauda p. n. Początki przyrodzeniopistwa (physiologia).

szy sobie za rzemiosło pewną gałęź chirurgii, doprowadzały ją do wysokiego stopnia doskonałości. Tym sposobem powstał chirurgowie-pielgrzymi czyli tula-
cze (percursores), którzy umiając wykonywać jedną tylko operacyę, obiegali całą Europę, zyskując sobie głośną sławę i majątek. We Francyi już w r. 1033 utworzono towarzystwo chirurgów w Paryżu, pod nazwą Confrérie des chirurgiens de Paris, które przy-
bierając różne nazwy, to Collège de st. Come (1533), to Ecole royale, to Académie royale de chirurgie (1734), doszło najwyższego stopnia rozwoju, a w roku 1794 z ciałem lekarskiem złączone, przeistoczyło się w Ecole de santé, od r. 1808 przezwaną uniwersytetem. Podobne bractwo chirurgów, od r. 1008 obok uniwersytetu istniejące w Montpellier, też same przechodziło koleje co i towarzystwo paryżkie, póki ostatecznie nie złączyło się z uniwersytetem. Po Francyi Dania szczególnie opiekowała się chirurgią. W r. 1577, Fryderyk II ustanowił w Kopenhadze kolegium chirurgów: 1736 r. Chrystyan VI szkołę anatomiczno-chirurgiczną, a w roku 1783 akademię chirurgiczną. W Anglii w 1745 r. parlament przyznał chirurgom też same prawa, jakie oddawna już mieli lekarze. W Niemczech najpóźniej chirurgia uzyskała sobie prawo obywatelstwa, bo dopiero w r. 1774 połączono ją z medycyną w jedną organiczną całość. Mederer von Wuthwehr, professor we Fryburgu, dał w tym piękny przykład, przemawiając z katedry o konieczności złączenia się medycyny z chirurgią; ale i tutaj z boleścią poznajemy trwającą wciąż stare uprzedzenie; za tak śmiałą reformatorską myśl, lekarze obsypali Wuthwehra przekleństwami, uczniowie wysmiali profesora publicznie i dom mu zburzyć chcieli. Pomimo to Wuthwehr przeprowadza swój genialny zamiar, w ciągu 22 lat wykładem swym wzbudza pomiędzy Niemcami entuzjazm do chirurgii, i ta sama młodzież, która wprzód sypała mu przekleństwa, w r. 1796, kiedy Wuthwehr, okryty sławą, opuszczał katedrę chirurgii, wyprawiła czcigodnemu profesorowi nocną serenadę z pochodniami. Tak powoli padały uprzedzenia i przesady.

Czerwiakowski, dobrze świadomy losów chirurgii za granicą i zgubnego wpływu na naukę, pochodzącego z jej rozdziału z medycyną właściwą, w ojczyźnie swojej od razu pragnął postawić chirurgią na tym stopniu znaczenia i blasku, jakiego ona w ościennych państwach dobiła się wiekami. Nie dziwimy się wcale, że napotykał wszędzie przeszkody, cieszymy się tylko, że je zawsze i dzielnie pokonywał. Już w pierwszych latach, na polu czystej nauki i enot obywatelskich, jako professor i człowiek, Czerwiakowski uzbierał dla siebie śliczny wieniec: młodzież akademicka otoczyła go uwielbieniem i cziłą nieopisaną; u mieszkańców Krakowa za prawy i pełen serdeczności charakter uzyskał powszechne poważanie i miłość; brakowało mu tylko sposobności wykazania swych chirurgicznych zdolności na obszerniejszą skalę, jako chirurg-operator. Wypadki chciały, że i na tę sposobność nie czekał długo; powołany bowiem został roku 1794, na naczelnego chirurga w lazarecie głównym przy św. Piotrze. Na to miejsce Czerwiakowski, jako człowiek serca i nauki, wprowadza akademicką młodzież, i łącząc obowiązki lekarza z powołaniem profesora, kurs chirurgii wyklada. Poświęceniem, biegłością w sztuce, serdecznym obejściem się, zjednał sobie wdzięczność rodaków i uznanie zasług. Czas ten należy do najbardziej pamiętnych w życiu Czerwiakowskiego: gromadząc piękne materiały dla nauki, obracał je na korzyść młodzieży akademickiej i dobro współbraci. Wszyscy chirurgowie chwile podobne zaliczają do najszcześniejszych w życiu; zaświadczą o tym Larrey, Ravaton, Graeffe, Gałęzowski, Langenbeck, Pirogow i t. p.

(Dokończenie nastąpi).

Ratusz wileński.

Pomiędzy celniejszych gmachami grodu Swentoroga, ratusz niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc zajmuje, nie tylko ze względu na swą budowę, lecz także dla dziwnie odpowiedniego położenia; leży bowiem pośrodku miasta, na zbiegowisku największych i najpiękniejszych jego ulic, pośród najokazalszych domów i kilku pierwszorzędných świątyni.

Oprócz pięknej architektury, w której poświeciła talent tego samego mistrza, co wznosił katedralny kościół, niemałego uroku przyczynia ratuszowi pałacyk leżący przed nim, schludny, osadzony młodemi topolami, a przedzielający dwa dziwnie sprzeczne świątynie.

Po prawej bowiem jego stronie, z rynku, z pod

straganów i kramów przekupek, z sąsiedniej Szklaniej ulicy, dolatuje głuchy szmer, kiedy niekiedy przerywany głośniejszemi wykrzykami jadących i idących, sprzedających i kupujących, Żydów i chrześcian, mężczyzn i kobiet, mieszczan i wieśniaków. Tu panuje przemysł uliczny, w całej rozciągłości tego wyrazu, przemysł czysto miejsowy, w którym wiele wrzawy, a rzeczy bardzo mało. Szklana ulica, to siedlisko izraelskiego proletaryatu, i kilka porządniejszych żydowskich sklepów ginie w tym odmęcie brudów, błota, krzyku i nieładu. Nowiniarska ulica w Warszawie, ani wyobrażenia o niej dać nie może. Wystaw sobie, czytelniku, ulicę wąską, tak iż dwie jednokonne drożki z trudnością minąć się mogą; domy przy niej ogromne, jak na Starém mieście w Warszawie, najstarszytniejsze pono w całym Wilnie, bramy ciasne, dziedzińce raczej do jaskini podobne, trotuary tak wązkie, że po nich chodząc niepodobna; zresztą co krok potracasz to o szafkę z towarami niby galanteryjnemi, to o garnek zastępujący fajerkę do ogrzewania, to o gapiącego się lub drzemiącego Żydzia. Podnosisz głowę do góry: — tu kilka ubiegłych stuleci przemawia z posepnych murów, językiem bardzo wymownych brudów; poprowadzisz oczyma po snujących się tłumach: — tu naga rzeczywistość, goniąca po błocie za złotem. Gdyby można jakim cudem wejść na tę ulicę, zostawiwszy gdzieś wszystkie swoje zmysły, prócz wzroku, dziwny ujrzelibyśmy widok. Ci wywiesiwszy składnie wszystkie swe łachmany, zapraszają do kramu, zachwalają swój towar i wszelkiemi słodkami starają się ściągnąć uwagę przechodzących. Inni, należący do kategorii bogatszych, patrzą na swych ubożuchnych a krzykliwych sąsiadów okiem tak wyrefinowanej wyższości, jakby byli obeznani ze wszelkiemi prawidłami etykiety i wyższego tonu. Jedni oglądają na wszystko z pewnym rodzajem osłupienia, że nie powiem bojaźni: to poczciwi wieśniacy. Drudzy mieliby sobie za grzech, gdyby na czemkolwiek dłużej swój wzrok zatrzymali; przechodzą też pośród gradu słów, z doświadczeniem wojownika drwiącego z kul i pocisków — to tutejsi mieszczanie. Inni... ale i tak jużemy się zagadali, czas powrócić do ratusza.

Oto ujście Szklaniej ulicy — tu siedzą przekupnie z zapalkami, owocami i arkuszwami bohomazami pruskimi, które kopersztychami tytułują. Dalej spotykamy kuśnierzy, wiecznie zachwalających najnowszego mody czapki. Stanowisko które zajmują jest odwieczne; tu bowiem za dawnych czasów wznosił się dom kuśnierski. Po za nimi sklepy korzenne, stragan z pijawkami, garnkami, stoliki z różańcami i medalikami, klatki, zielenina, owoce, czasem winogrona, wreszcie woz z młkiem, sérami, przepukpi wszelkiego rodzaju, słowem różne różności, jak to zwykle na rynku bywa. Koło baryery okalającej plac, grupy obdartych, nędznie i ubogo odzianych ludzi, — to tracze i najemnicy.

Zajrzyjmy teraz na przeciwną stronę placu, to jest na lewą. I tu życie i ruch, i tu przemysł i krzątania, ale jakże inne, jak różne! Rzekłbyś tam dzień powszedni, tu świąteczny, tam naga rzeczywistość, tu zaś sama rzeczywistość, lecz zamaskowana, a grzeszna i miła, jak na balu maskowym. W dniu osobliwie świąteczne pełno tu przechadzających się, mianowicie ku wieczorowi, wtenczas bowiem pobożna nasza publiczność dąży do Ostrzej-bramy na niespory lub litania. Lecz ludno tu i w dniu powszednim. Nade wszystko w zimie, gdy życie miejskie skupia się po większej części w obrębie miasta, gdy ogrody i pozamiejskie przechadzki stoją pustkami, tu największy panuje ruch, największe życie. Jest to warszawskie Krakowskie-przedmieście w miniaturze.

Pozwolisz czytelniku, że odbędę teraz z tobą dziejową pielgrzymkę. Zaczniemy ją od czasów Olgerda, a więc od chwili kiedy starożytna Litwa była u szczytu potęgi, kiedy wschód i południe drżały na samo jej wspomnienie, kiedy północ niemiecka próżno szczybiła swoje miecze o święte drzewa Litwy, kiedy zachód nieśmiało podawał jej rękę, by wkrótce ujrzeć ją spojona nierozdzielnie ślubu z zorstką dłonią meźnej i nawróconej dzieży. W świecie jednak moralnym wielki był wtenczas przewrót. Święty ogień Żnicza nie tak jasnym gorzał płomieniem. Gromy Perkuna widocznie stepiały. Ludzie starzy upatrywali blizki koniec świata. Do wielu się serc wkradła wątpliwość. Duch tylko fanatyzmu, niby ostatni jęk konającego potwora, spać nie dawał Krewom i innym kapłanom.

Mieli też poniekąd słusność. Dwa strumienie wiary Chrystusa, z dwóch przeciwnych stron, trysnęły świętą wodą w samej stolicy Litwy — w Wilnie. Jeden ze wschodu, dzięki związkom małżeńskim wielkich książąt z Rusią, pokazał się aż na wielkksiążę-

cym dworze. Nowosć przypadła do serca wielu dworzanom, ochrzcił ich mnich Nestor. Zadrzał gniewem w. ks. Olgerd, nie tak może z nienawiści ku wierze chrześcijańskiej, jak raczej z powodu zagrożenia przez kapłanów karą zagniewanych bogów. W kilka dni potem dąb stojący na placu ratuszowym, a może na miejscu samego ratusza, ugiął się pod ciężarem trzech wisielców. Byli to dworzanie Olgerda: Kuhlej, Mhlej i Nizyło, ochrzczeni według obrządku wschodniego pod imionami Jana, Eustachego i Antoniego, a powieszeni dla przykładu i postrachu świeżo nawróconych.

Lecz większe podobno groziło niebezpieczeństwo z zachodu. Ztamtąd Gastold, jak mówią dzieje, a może tylko duch wiary, sprowadził do grodu Gedymina ubogich, pokornych, cichych, istny wzór apostołów, mnichów. Byli to franciszkanie. Dzieło nawracania rozpoczęli od dołu, od ludu, więc od samych fundamentów. Długo nie zwracano na nich uwagi, a tymczasem dzieło nawracania krzewiło się w najlepsze, ile że wielowładny wówczas Gastold rozciągał nad nimi swą opiekę. Zdarzyło się że w. książę zwrócił swój oręż, rzadko w pochwę wkładany, na odległą Ruś, a Gastold bawił w Tykocinie. Tego tylko czekali pogańscy kapłani i dość jeszcze potężni zwolennicy stariej wiary. Pochodnia fanatyzmu buchnęła snym płomieniem. Od końca do końca Wilna rozległ się jeden okrzyk, dziki, straszny, groźny: „śmierć mnichom!“ Zjadła tłuszczą rzuciła się na drewniany klasztor wystraszonych księży. Siedmiu z nich udało się umknąć i skryć w lesie na górze Zamkowej. Pozostali postanowili z rezygnacją oczekiwać palmy męczeńskiej. Drzwi runęły, mnichy wpadli w ręce katowskie. Obdartych, zeszcpeconych, skrwawionych, wśród gradu kamieni i błota, poprowadzono przed jakiś zaimprovizowany sąd, zapewne Krewę, czyli miejscowego kapłana, który nietylko duchowną, lecz i świecką miał natenczas władzę. Skazano ich na śmierć. W jednej chwili rynek, gdzie dziś stoi ratusz, zapelniał się krwizadną tłuszczą. Siedm mieczów zabłysło, siedm głów oddzielonych od tułowu potoczyło się w piasek, siedm czystych dusz uleciało do krainy świętych i błogosławionych. Podają niektórzy, że Gastold, za rozkazem Olgerda, srogo się zemścił ich śmierci. Pięćset głów miało spaść pod mieczem kata, zapewne na tym samym miejscu.

Lubo i owych siedmiu franciszkanów, którym się umknąć udało, tenże sam los spotkał, bo zostali zepchnięci z Łysej góry, w bystre nurty Wilenki, przecie na niewiele się przydały te przesładowania i mordy. Zabili wprawdzie ludzi, lecz nowiej wiary zabić nie mogli. W kilkadziesiąt lat później, dziki zwierzę sąsiednich kniei trwożnie się przysłuchiwał dzwonom katolickich świątyni, a całą czeredę bożków kapłani przeniśli na wierną sobie Żmujdz, by i ztamtąd wkrótce ujęć na Anafelasy i zniknąć w pomroce niepamięci. Wraz ze światłem prawdziwej wiary, przyszyły też wyobrażenia i potrzeby zgodne z ówczesną cywilizacyą zachodniej Europy. Prawo magdeburskie wywołało potrzebę ratusza. I rzecz dziwna, na miejscu tylu czynów niesprawiedliwych, stanęła świątynia sprawiedliwości, niby zadosyćuczynienie cniom niewinnych ofiar.

Przebieglszy pokrótce wypadki, które zresztą do ogólnej historii kraju należą, słusna abyśmy się przyrzeli dziejom samych murów. Jest to rodzaj biografii; bo i mury mają swoje życie, swoje chwile chwały i upadku, bo i mury, jak wszystko co jest pod słońcem, podlegają trzem nieodwołalnym koniecznościom: narodzinom, życiu i śmierci.

Żywoł naszego ratusza, jak i żywoł narodu który go postawił, jest cichy i skromny. Ani mu się równać z gmachami podobnego rodzaju w Niemczech i Francyi, kędy każda wieżyczka, każde okno, każdy gzymś nieledwie ma swoje dzieje, tradycje i legendy. A jednak przebył on wiele mąk i katuszy, wytrzymał ogień czyscowy w wielu pożarach które Wilno nawidzały.

Skoro na Litwie ustalili się chrystyanizm, rynek, na którym przed kilkadziesiąt laty oo. franciszkanie męczeńską krew swą przeleli, został im na wieczne czasy oddany. Wchodząc jednak w potrzeby miasta, ustąpili go wkrótce na rzecz jego i jakieśmy powiedzieli, stanął na tym miejscu ratusz. Postać jego jednak zupełnie inną była wtedy niż dzisiejsza, a jak pokazują niektóre poszlaki, był to gmach daleko większy od terażniejszego.

Ogromna gotycka wieża, tworząca kwadrat o 64 stopach obwodu, a 144 stóp wysoka, nad nim się wznosiła; tu znajdował się zegar, przeniesiony później do kościoła świętego Kazmirza. Ztąd wieczorami wybijano godziny gaszenia ognia, o siódmym

na półzagarze; tu, jak mówi Kraszewski (Wilno III) grała muzyka w dnie świąteczne dla ludu, i ztąd czu- wano nad bezpieczeństwem miasta, jak to po wszyst- kich grodach i zamkach w dawnych wiekach miało miejsce. Pod sklepieniem były dwa dzwony, a nad kopułą powiewała chorągiew, zapewne z herbem miasta. Jeden z tych dzwonów, największy w Wilnie, prze- niesiony następnie do kościoła św. Kazmirza, został uwieczniony, jeśli się godzi tak wyrazić, w epigramacie z końca XVII wieku, który tu wypisujemy z nieda- wno wyszłego „Przewodni- ka“ wileńskiego:

„Mam uszy, lubo nie mam
[ni nóg, ani głowy,
Gdy się jednak rozchadzam
[po Wilnie, cud nowy!
Głośno z ludźmi rozmawiam,
[choć nie mam języka,
Wszystko mię wielkie księż-
[two ma za męczennika(?)
Bom obwieszon dla Boga i
[w ognium się smażył,
A kto by się na takie mę-
[czeństwo odważył?...
Żyję jednak po śmierci i znać
[że jest dusza
Żywa we mnie, bo serce się
[jeszcze porusza.“

I istotnie, dzielnie się po- rusza! Niema zakątka mia- sta, do którego głos jego nie doszedł—słychać go na- wet o kilka wiorst za mia- stem.

Koło ratusza, a nawet i w samych jego murach, cu- dzoziemscy przybysze, po- między którymi byli zape- wne i synowie Izraela, zbu- dowali w czworobok swo- je kramy, jatki, sklepy, roz- stawili stragany i stoły. W tém też miejscu stanął, jakeśmy wspomnieli, dom kuśnierski.

W ratuszu ześrodkowywała się natenczas wszelka władza miejska i zarząd administracyjny; tu więc od- bywały się sądy wójtowskie, tu mieściły archiwa, tu był skład towarów, oręza, zapasów miejskich, tu chowano miary i wagi miejscowe. Zważywszy zaś, że za czasów Zygmunta Augusta liczono w Wilnie o- koło 120,000 ludności, dalej że ratusz musiał odpo-

wiadać jej potrzebom, łatwo wyprowadzimy wniosek, że budowa jego musiała być nierównie od dzisiejszej obszerniejszą.

Lecz jeżeli z jednej strony ten gmach dziwił swo- ją wspaniałością i ogromem, z drugiej za to dla wielu był przedmiotem postrachu; obok niego bo- wiem z jednej strony wznosił się przęgierz czyli Pi- lat, z drugiej szubienica.

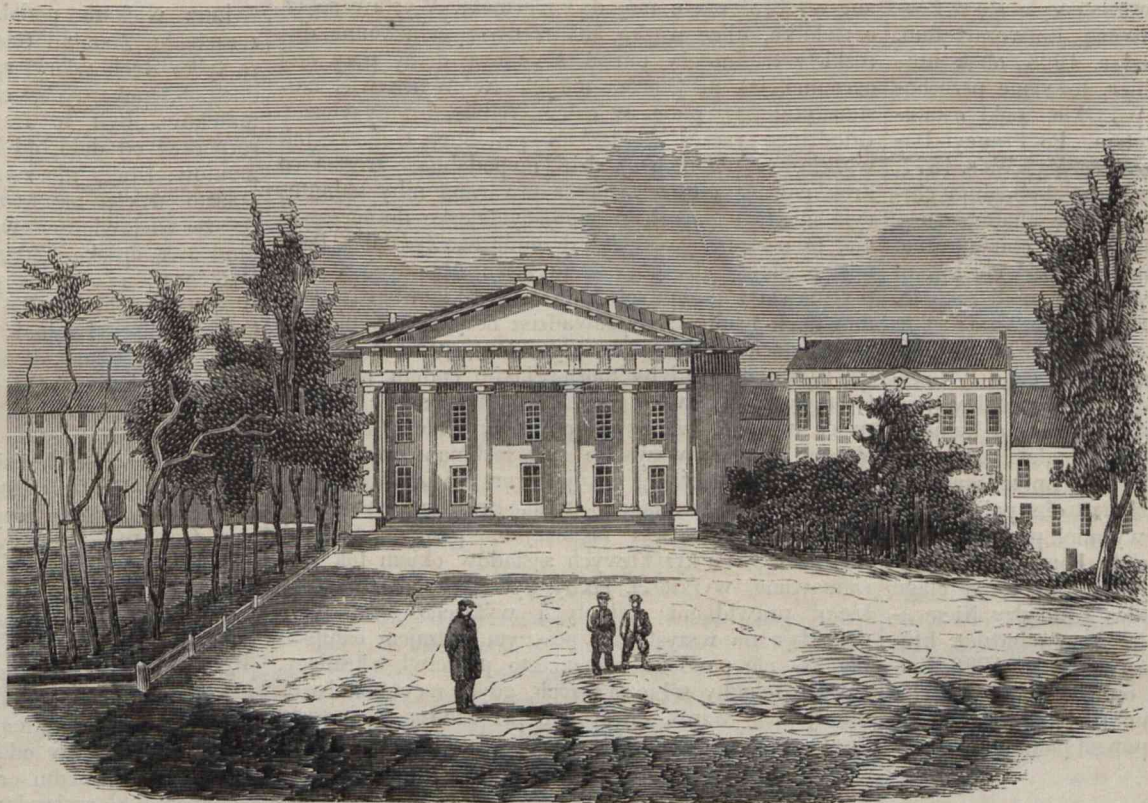
Gmach ten przechodził z całym krajem i miastem rozmaite losy koleje. W 1603 r. Zygmunt III uwalnia

nu kmiecego, w powiecie wilkomińskim, we wsi Miguncach. Zrazu używany do posług przy kościele, skoro okazał chęć do nauk, oddany został do szkół ks. pijarów w Poniewieżu. Ztamtąd, gdy już miał odbyć pierwsze święcenia, ojciec, zniszczony pożarem, wzy- wa go do pluga i kosy. Jednak, dzięki niepokonanemu pociągowi do nauk, otrzymuje pozwolenie udania się do szkoły głównej wileńskiej. Tu niedostatek zmu- sza go przywdziać sukienkę oo. misyonarzy. Opatrz- ność zsyła mu opiekuna w osobie ks. Massalskiego, za którego poradą przechodzi do seminarium; lecz nie czu- jąc w sobie powołania do sta- nu kapłańskiego, zwraca się z tém ks. Massalskiemu i ten w r. 1778 zabrał go z sobą zagranicę, dla udoskonalenia się w budownictwie, które- go pierwsze zasady poznał w wileńskim uniwersytecie.

Po różnych kolejach i prze- ciwnościach, zwidziwszy Hamburg i Kopenhagę (do- kąd się zabrał z posłem duń- skim), dostaje się do Pary- ża. Tu kształci się pod naj- słynniejszymi naówczas ar- chitektami: jak Lappot, Le- doux i Bondonette, słuchając publicznych prelekcij w kró- lewskiej akademii sztuk i w szkole J. F. Blondella. Z Paryża udaje się do Rzy- mu, a po czteroletnim poby- cie w obczyźnie, wraca do rodzinnej Litwy, gdzie zaraz przystępuje do ukończenia pałacu w Werkach (który rozpoczął jego nauczyciel Knaffus) i przebudowania ka- tedry. Wkrótce kanclerz Jer- zy Chreptowicz kazał mu przebudować ratusz wileński, a sejm 1789 r. nadał mu szla-

chectwo. Zrazu professor architektury, topografii i kart topograficznych w nowozałożonej szkole inżynierów korpusu litewskiego w Wilnie, pod koniec 1793 r. zostaje professorem architektury cywilnej w akademii wileńskiej. Umarł 1798 r. z wodnej puchliny. Pocho- wany w Wilnie na cmentarzu Rossa.

W 1845 r. urządzono w ratuszu teatr miejski, mniejszy trochę od teatru Rozmaitości w Warszawie.
Mściław Kam...



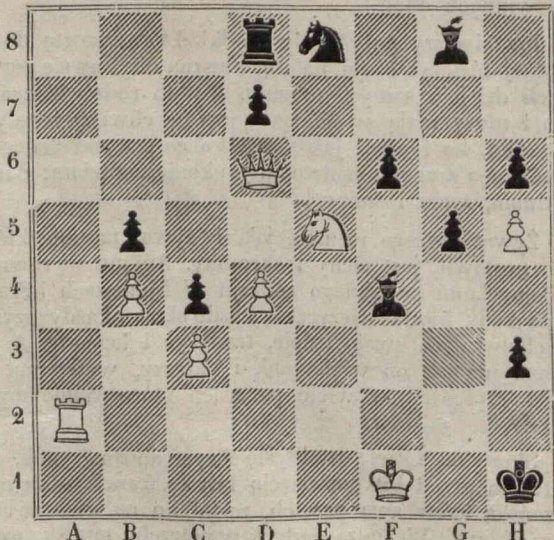
RATUSZ WILEŃSKI. (Rysował Podbielski z fotografii Korzona).

SZACHY.

ZADANIE CXLI.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 140.

Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------------------|-----------------|
| 1) C 7 — D 7 † | 1) D 3 — F 5. |
| 2) E 1 — E 6 | 2) F 5 — A 5 †. |
| 3) E 6 — A 6 † odkryty | 3) A 5 — F 5. |
| 4) A 6 — G 6 † i mat. | |

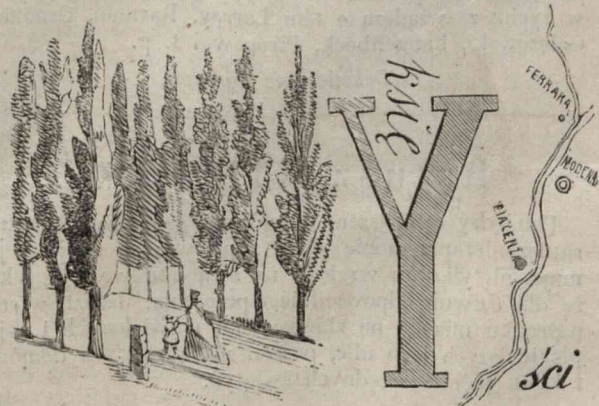
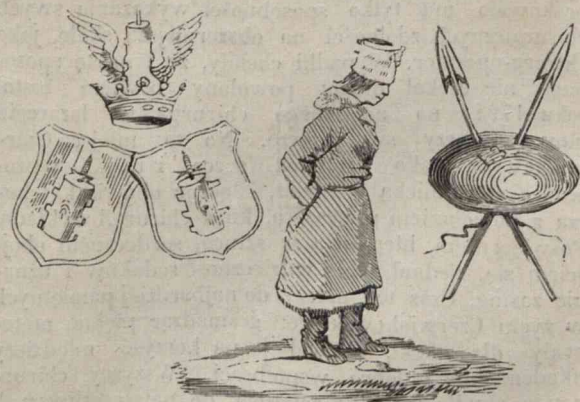
go od gospód i ciężarów, rzeczy bardzo ważnej w ży- ciu miastówczesnych. Po wojnie 1663 r. Jan Kazimirz za- strzegł, aby wojska w przechodach przez Wilno miasta nie niszczyły. W tym też roku uchwalono składkę od kupców, rzemieślników, cechowych, a nawet urzęd- ników miejskich, dla wycieńczonej kassy ratusza, i przedsięwzięto jego restauracyą. Konstytucya r. 1677 uchwaliła podwojenie dochodów miejskich na jego naprawę. W 1706 r. w wielkim pożarze dnia 18go maja, który najznaczniejszą część miasta zniszczył, spłonął też do szczytu prawie ratusz. Spalił się wten- czas przywilej Augusta II, potwierdzający nadania miejskie, dwie metryki przywilejów od założenia mia- sta i wiele innych nieodżałowanych dokumentów. Ledwie dzwignął się z tych klęsk, aliści 1749 r. 8 czerwca wszczyna się pożar na przedmieściu, o- braca w perzynę najpiękniejsze budowle i świąty- nie litewskiej stolicy, a między innymi i ratusz. Współ- czesny więszokleta Joachimowicz w tych słowach o- piewa tę stratę:

Pójdmyż do miejskiej nareszcie ozdoby,
Ratusz wspaniały, sławny do tej doby,
Upadł ten kolos, wieża też z zegarem
Poszła z pożarem.
Dach był dachówką i blachą pokryty;
Jak go ogarnął płomień, puścił nity.
Sto aż tysięcy, chcąc go reparować,
Dać, nie żalować.

Jednakże, powiada Kraszewski, tymczasowa repa- racya w 1750 r. uczyniona, wedle rachunków tylko 5,154 złotych kosztowała. (Wilno). Reparacye w la- tach 1755, 1756 i 1757 uczynione nie na wiele się przydały; albowiem 1781 r. dnia 19 czerwca, w skut- ek nieumiejętności architekta (bo inne jego roboty temuż samemu uległy losowi), obaliła się wieża, a jej gruzy zasypały domy i archiwa.

Dzisiejszy wspaniały gmach, stanął według planu pro- fessora architekta Wawrzyńca Gucewicza w 1783 roku. Dziwna rzecz, że Encyklopedya powszechna, tak pię- kną dążącą drogą, najmniejszej wzmianki o tym zasłużonym ziomku naszym nie uczyniła. A jednak zasługuje on na to, nietylko dla licznych swoich przygód, lecz dla pięknych pomników, które zostawił po sobie w tutejszym grodzie. Opuszczenie to tém więcej zastanawia, iż w *Przechadzkach po Wilnie* Jana ze Śliwina, znajduje się dość obszerny jego zyciorys, z którego wypisujemy tu niektóre szczegóły. Gucewicz urodził się w 1755 r. z rodziców sta-

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 174.
Oświata ludu idzie zółwim krokiem, gorzej dziś dwa- kroć niżeli przed rokiem.